**Wojciech Wojda z Farben Lehre: najważniejsza w życiu jest szczerość  
  
- Farben Lehre zamieniał się w Titanica, który płynie na górę lodową. Wyrzucając chłopaków w 1998 roku, zmieniłem kurs i obszedłem górę lodową szerokim łukiem – przyznaje Wojda, dla którego utrata ideałów równa się z utratą papierów na granie. Używek na scenie nie uznaje: - Dla mnie to jest patologia. Tu nigdy do tego nie dojdzie, a jeśli nawet to wyrzuciłbym takiego muzyka z zespołu, szybciej niżby się sam koncert skończył – grozi palcem wokalista. Jego zdaniem, dzisiejszy punk rock znów powinien komentować polityczną rzeczywistość: - Znowu jest ta ręka, która zamachuje się na wolność, jak było w czasach komuny.  
  
Przemysław Bollin: Słyszałem, że się żenisz. Zespół weselny dostał od ciebie listę gatunków zakazanych?**Wojciech Wojda: Na pewno nie będą grali disco polo (śmiech). Bardzo porządny zespół weselny. Dobrzy wokaliści, dobrzy muzycy. Radzą sobie.  **30-lecie istnienia Farben Lehre to materiał na niezłe kino akcji. Które momenty z waszej historii wpisałbyś w scenariusz?**   
Początek, czyli 1986 rok, kiedy nie było internetu i trzeba było docierać do ludzi podziemnymi kanałami. I koncerty! To było bardzo ważne, żeby grać jak najwięcej – i to się nam udało. Na tamtym etapie to było najważniejsze.  
  
**To był dobry czas na debiut punkowej kapeli?**  
Nie do końca. Kapele, które zaczynały na początku lat 80., od razu na dzień dobry stawały się rozpoznawalne, mówiło się o nich, że „walczą z komuną”. To była złota era punk rocka. Super czas. Wtedy każdy od razu stawał się legendą. A my powstaliśmy później, więc do dzisiaj nie wpisujemy się w te wszystkie punkowe biografie z czasów komuny.   
  
**Ale pojechaliście w 1990 roku do Jarocina i poszliście w górę.**  
Jesteśmy rekordzistami, jeśli chodzi o występy w Jarocinie. Pojawialiśmy się tam rokrocznie od 1987 roku, aż w końcu przyszedł 1990 rok i wygraliśmy konkurs młodych kapel. Paradoksalnie, w finale zagraliśmy bardzo słabo, za to w eliminacjach było nieprzeciętnie dobrze i myślę, że właśnie dzięki temu jury nas wyróżniło. Od tego momentu nazwa Farben Lehre stała się ponadlokalna.   
  
**Kto był w jury?**  
Pamiętam ten skład doskonale: Piotr Majewski - dziennikarz, Kuba Wojewódzki - znany dziś wszem i wobec celebryta, Tomek Lipiński z Tiltu, Piotr Klatt z zespołu Róże Europy oraz Paweł „Kelner” Rozwadowski z Deutera. Wojewódzki i Majewski postawili na Gang Olsena - dobry zespół, który nie przetrwał próby czasu; Lipiński zakochał się w blondwłosej basistce o długich nogach z grupy Bundeswhera, bo innego wytłumaczenia nie widzę – a urodziwe było dziewcze; my zaś przeszliśmy głosami „Kelnera” i Klatta.  
  
**To kto był przewodniczącym, że wygraliście przy remisie?**  
Nie, nie spokojnie, tu trzy zespoły przeszły. W 1985 roku było 10 zwycięzców, a w 1984 chyba sześciu. Kilka miesięcy później byliśmy już w Izabelin Studio i nagrywaliśmy płytę.  
  
**W Izabelinie spotkaliście się z Andrzejem Puczyńskim, jednym z najważniejszych wówczas „poławiaczy pereł”. Przekonaliście go do siebie od razu, w Jarocinie, czy dopiero później?**  
Sytuacja była nieco inna. To jest swoista czarna plama w naszej historii... Nagrodą w Jarocinie była sesja nagraniowa, którą przedłużyliśmy do nagrania płyty. Nie płaciliśmy za nią, to fakt, ale to było pół prawdy. Drugie pół jest takie, że w zamian za to byliśmy zobowiązani wydać ten materiał u nich. Nikt nam nie powiedział, że wygrana w Jarocinie wiąże się z uzależnieniem wydawniczym od Izabelin Studio. Puczyński nie przekonał się do nas Jarocinem, tylko zobowiązała go do tego nasza nagroda. O ile się nie mylę, Puczyński wybierał sobie jeden z trzech zwycięskich zespołów, więc wybrał nas, bo Gang Olsena i Bundeswhera wydali materiał gdzie indziej...   
  
Jak się dowiedzieliśmy o tym, że jest to transakcja wiązana, to zostaliśmy pierwszym zespołem, który odszedł z Izabelinu, nawet do niego nie wchodząc – nagraliśmy materiał, ale nie zgodziliśmy się na jego wydanie. Nie mogliśmy się dogadać z Katarzyną Kanclerz, która była tam wtedy najważniejsza, obok Puczyńskiego. Zaczęli narzucać nam swoje wizje, które należało z nami konsultować, a nie mówić, że tak ma być i już. A po drugie, one nam się wcale nie podobały, więc stwierdziliśmy, że czas się pożegnać. Okazało się, że to nie było takie proste, bo musieliśmy znaleźć kogoś, kto wykupiłby licencję na te nagrania. To było nie fair. Nie chcę robić z tego sensacji po latach, ale dokładnie tak to wyglądało. Chcieli nas wydać, nie wydali, więc musieliśmy materiał odkupić. Zrobił to Arston, za jakieś pieniądze i poszliśmy dalej.   
  
**Trzy lata później wróciliście** **do Jarocina i było zwarcie z organizatorem. O co poszło?**To był 1993 rok. Splot różnych ciekawych zdarzeń spowodował, że była zadyma na Małej Scenie, mówiąc wprost – ona przestała istnieć; nam zaginęła gitara i w ramach rekompensaty powiedziano nam: „Panowie, nie robimy szumu, zagracie jutro na Dużej Scenie i będziecie zadowoleni z takiego rozwiązania”.   
  
Oliwa była sprawiedliwa – okazało się, że w trakcie zadymy ktoś ukrył nam gitarę i oddał następnego dnia, a my dostaliśmy od organizatora czas na Dużej Scenie. Niestety czas był mocno ograniczony, a publika domagała się bisów. Organizator na takowe nie pozwolił, choć mi zawsze wydawało się, że to publiczność oraz wola samego zespołu decydują o bisach – nikt inny. W związku z tym ludzie zaczęli rzucać różnymi przedmiotami na scenę. Po wielominutowych dyskusjach z organizatorami, wyszliśmy i stanęliśmy po stronie publiki, grając numer „Mam w dupie”.   
**Wyszło wam to bokiem, czy na dobre?**   
Tylko na dobre. Co ciekawe, Kuba Wojewódzki od razu zapałał do nas wielką miłością. On tak ma, dlatego po 20 latach jest tam, gdzie jest. Taką stosuje metodę, że zawsze spada na cztery łapy, bo umie iść z falą i prądem… Dał nas od razu na okładkę gazety „Brum”, z dnia na dzień stał się fanem Farben Lehre. W dużej mierze dzięki temu koncertowi w Jarocinie, w 1993 roku, kasety „My maszyny” bardzo dobrze się sprzedawały i ustabilizowały naszą pozycję na rynku.   
  
**Wróćmy do naszego scenariusza. Komuna, Jarocin, ale i lata 90. i pierwsze występy z zagranicznymi gwiazdami.**Na pewno trzeba wymienić 1996 rok i koncert przed The Exploited. Bardzo dobrze wtedy zagraliśmy, co potwierdzili nam koledzy ze Szkocji. Byli pozytywnie zaskoczeni naszym występem – bez zbędnej kurtuazji nam o tym powiedzieli. Publiczność zresztą też reagowała żywiołowo. Ten koncert podniósł naszą renomę. Przestaliśmy był „prowincjonalną kapelką z Płocka”, bo wcześniej wśród dziennikarzy nie brakowało złośliwych komentarzy na nasz temat. Bartek Koziczyński z „Teraz Rocka” napisał wtedy, że zespół Farben Lehre zagrał bardzo przyzwoicie i wyjątkowo dobrze zabrzmiał... Tym koncertem otworzyliśmy kolejne drzwi.   
  
**Dobrze szło, ale dwa lata później wyrzuciłeś wszystkich muzyków.**Stwierdziłem, że po 12 latach grania, niektórym kolegom już się po prostu nie chce grać. To moja opinia, bo pewnie gdybyś ich zapytał, to mieliby inne zdanie. Interesowali się wówczas głównie imprezami po koncertach, wszystkim innym, tylko nie muzyką. Esencją były dziewczyny i alkohol, zwłaszcza dla obu gitarzystów...   
  
Po trasie we Włoszech ogłosiłem, że się żegnamy. Jak zespoły się rozpadają, to potem powstają dwa nowe i mamy, np. dwa Kombi, dwa Katy – i moi muzycy myśleli, że tu będzie tak samo. Stało się jednak inaczej, bo po miesiącu panowie przestali grać, a nazwa Farben Lehre została przy mnie. Zresztą nic dziwnego, bo to ja ją wymyśliłem. Zebrałem nowy skład. To był ważny moment, bo nowi ludzie, to nowa energia, nowa siła, nowe otwarcie.   
  
**Ich wyrzuciłeś za „rozrywkowe życie”, a w książce Leszka Gnoińskiego i Kamila Wójcika „Bez pokory” piszesz,** **że sam nie wylewałeś za kołnierz.**   
Pewnie, że tak, ale tu chodzi o priorytety. Czy dziewczyny nie są piękne i ważne? Oczywiście, że tak. Czy imprezy nie są piękne i ważne? Są... Jedynie w kwestii narkotyków się nie opowiadam, bo od zawsze byłem i wciąż jestem ich radykalnym przeciwnikiem. Wtedy chodziło o to, co było dla kogo rzeczą najważniejszą.  
  
**Ktoś wychodził po pijanemu na scenę?**  
Kicińskiemu raz się zdarzyło wyjść po alkoholu na scenę, przez co położył bardzo ważny koncert. Jednak muszę mu oddać sprawiedliwość, że po tym fakcie – a był to rok 1992 – zapytałem go, czy jest z siebie dumny jak zagrał, to potwierdził, że nie i od tamtej pory już nigdy nie wyszedł grać po pijanemu. Są oczywiście wyjątki, np. nieśmiertelni muzycy z The Rolling Stones, którzy wychodzą narąbani i grają świetnie, ale taki przypadek zdarza się raz na milion. Inny przykład, to Witkacy, który tylko po używkach tworzył genialne rzeczy. W muzyce jest inaczej niż w malarstwie, tu trzeba wytrzymać kondycyjnie i nie można odpuścić nawet na moment. Obaj znamy przykłady polskich zespołów, kiedy granie pod wpływem kończyło się skandalem, ale to są w większości moi koledzy, więc nie będę wdawał się w konkrety i szczegóły.   
  
Dla mnie to jest patologia. W Farben Lehre nigdy już do tego nie dojdzie, a gdyby doszło, to usunąłbym takiego muzyka z kapeli, szybciej niżby się sam koncert skończył. A wracając do ówczesnego wyrzucenia kolegów z zespołu – im się po prostu nie chciało dłużej grać. Na próby chodzili z musu, koncerty grali od niechcenia, a tuż przed wyjściem na scenę pytali, gdzie śpimy i jakie są widoki na after party. To były główne powody. Dzięki temu dziś rozmawiamy, bo gdyby nie tamta decyzja, ten zespół umarłby śmiercią lotnika. Ja jestem kapitanem statku, a w tamtym czasie Farben Lehre zamieniał się w Titanica, który płynie na górę lodową. Wyrzucając chłopaków w 1998 roku, zmieniłem kurs i obszedłem górę lodową szerokim łukiem.   
**W książce „Bez pokory” wobec wyżej wymienionych kolegów używasz słowa „zdrada”, niekoniecznie w kontekście kobiet. To nie przesada?**   
Jest taki film „O jeden most za daleko”, ale tu nikt za daleko, moim zdaniem, nie poszedł. Po pierwsze muzyk, który wychodzi na scenę, a myśli o czymś innym, przestaje być wiarygodny dla publiczności, która postrzega go jako człowieka szczerego i niosącego dobrą energię. W latach 60. Frank Sinatra w wywiadzie powiedział, że „najważniejsza w życiu i w sztuce jest szczerość”, jeżeli jest inaczej, to zdradzasz samego siebie. I to były sytuacje z Kicińskim i Kokoszczyńskim, którzy – jak sądzę – zdradzili swoje ideały.   
  
Natomiast Chabowski zrobił coś takiego, że tu słowo „zdrada” jest jeszcze bardziej na miejscu. Żeby zadbać o swoje interesy, wysłaliśmy go do pracy w warszawskiej firmie Offmusic, która wydawała naszą płytę „Pozytywka”. Szukali kogoś do marketingu, więc liczyliśmy, że będziemy mieli tam „swojego człowieka”. Stało się zupełnie na odwrót i nasz szanowny kolega, pod wpływem pieniędzy, darmowej komórki i samochodu służbowego stał się człowiekiem Offmusic w Farben Lehre, negocjując warunki kontraktu na korzyść swojego pracodawcy, a nie macierzystego zespołu. Stał się kretem, który szkodził własnej kapeli. To się nazywa zdrada, nie ma na to lepszego określenia.   
  
**W książce pojawia się też wątek niechęci mediów do was. Masz na myśli szczególny moment kariery i czy wydarza się do dziś?**Osobiście bardzo krytycznie oceniam polski rynek medialny. Uważam, że media z premedytacją kreują miernotę i zwykłe dziadostwo, a ludzi z pasją wycinają w pień. Owszem, funkcjonują dziennikarze muzyczni, którzy mają ogromną wiedzę, ale pozostają na marginesie i od lat są sprowadzani do parteru. Przykładem jest chociażby Marek Wiernik, człowiek którego wiedza muzyczna jest tak nietuzinkowa, że powinien być wzorem dla innych kolegów po fachu, a tak się nie dzieje…   
  
Medialna niechęć do Farben Lehre jest od zawsze wpisana w naszą historię i tak zapewne pozostanie do końca istnienia tego zespołu. Mimo tego radzimy sobie i wciąż idziemy przez czas własną, niezależną drogą… Teraz mamy formaty radiowe, wszędzie leci to samo, trochę tak jak za komuny. Dziesięć zespołów na krzyż, a reszta niech się buja. Osobiście uważam, że znacznie zdrowszą sytuacją byłoby dać ludziom (słuchaczom, telewidzom) większy wybór – niech sami decydują czego chcą słuchać. Ale to byłoby za piękne i zaszkodziłoby wielu partykularnym interesom, tudzież zasadzie „ręka rękę myje”. Tak naprawdę szkoda zachodu poświęcać więcej czasu na ten żałosny temat…  
  
**Chcesz disco polo w radiu?**  
A czemu nie? Ja nie słucham, ale jeśli ludzie tego oczekują, to niech mają. Nie chcę takiej Polski, jak za czasów mojego ojca, że kiedy szedł do sklepu to był jeden rodzaj wódki, papierosów, jedno masło czy jeden gatunek chleba. Walczyliśmy o wolność wyboru, więc tego się trzymajmy. Dajmy ludziom kilogramy muzyki i niech sami wybierają czego chcą słuchać. Czy to nie jest oczywiste?  
  
**Jak oceniasz dzisiejszy festiwal w Jarocinie?**Firma Go Ahead zrobiła z Jarocina zawodowy festiwal – to trzeba przyznać. Z tego co widzę MJM próbuje powrócić do dawnej formuły konkursowej, wyszukującej młode zespoły – i to jest bardzo dobry znak. Natomiast wciąż nie podoba mi się to, że młode kapele grają w trochę przypadkowych miejscach. Poprzednio były to tour busy, zaś rok temu debiutanci pojawiali się po bokach Sceny Głównej – to nie powinno tak wyglądać. Jako Farben Lehre w 1987 roku graliśmy na darmowej dla publiczności scenie w amfiteatrze i miało to swój prestiż oraz konkretny wydźwięk. Trochę ubolewam, że podobnie jak za czasów Go Ahead, w tym roku esencją będą zagraniczne kapele, co oddala imprezę od tak zacnych korzeni…   
  
Umówmy się. Gwiazdą festiwalu w Jarocinie nie jest Kobranocka, Farben Lehre czy Gaga-Zielone Żabki, tylko Slayer i The Prodigy, a kiedyś ten festiwal bronił się głównie polskim katalogiem... Z kolei, gdyby prześledzić listę jarocińskich zwycięzców ostatnich lat, to okazałoby się, że już dawno nikt z nich nie przebił się do szerszej publiczności.   
  
**A Magnificent Muttley?**  
Znam ten zespół, on „gdzieś” zaistniał, ale nic więcej... Ja mówię o takich zespołach, które po Jarocinie zaczęły grać po całej Polsce, jak Moskwa, SS-20 (potem Dezerter), Siekiera, Sedes, TSA, Kat, Daab, Bakszysz, Kolaboranci czy choćby Gawliński, który zaczynał od Madame. Jeśli tegoroczny zwycięzca osiągnie taki status, to przyznam ci rację i powiem że Jarocin wraca do korzeni…   
  
**Wymieniasz zespoły, które były zaangażowane politycznie. Pytanie, czy punk rock bez nasilonych, antyrządowych treści ma sens?**   
Akurat w Polsce mamy teraz taką sytuację, że ponownie trzeba zabierać głos w ważnych sprawach. Znowu ze strony polityki pojawia się ręka, która zamachuje się na wolność, jak było w czasach komuny, ale to nasz specyficzny, polski grunt. Za granicą jest rzeczywiście inaczej.  
  
**W Polsce wielu mówiło o tym, że się wypowie i na tym się skończyło, więc poczekajmy na nagrania i zastanówmy się, na przykładzie zagranicznych kapel, czy punk rock bez polityki ma sens.**  
Każda muzyka potrzebuje rozwoju. Ludzie tego nie zauważają, że stojąc w miejscu wobec przestrzeni, cofają się, bo inni idą do przodu. Punk rock dziś ma nowe wyzwania, stał się pełnoprawną muzyką. Skończyło się granie za zasługi, że wychodzi kapela i gra trzy dźwięki na krzyż, a wszyscy klaszczą.   
  
Dzisiejsze kapele wyglądają czasem jak pamiętne zespoły sprzed 30 lat, tyle tylko, że grają i brzmią o niebo lepiej. Bo takie są oczekiwania współczesnych słuchaczy. To jest ta podstawowa różnica, gdzie właściwym kierunkiem jest dobra muzyka. Natomiast zawsze będzie się przeciwko czemu buntować. I tu, i w Boliwii, i w Chinach, w Anglii czy w Stanach Zjednoczonych. Dopóki głupota ludzka będzie występować tak powszechnie i dotkliwie, dopóty będzie o czym śpiewać.